

Gazeta Gdańska.

„Gazeta Gdańska” wychodzi 3 razy tygodniowo, a mianowicie we wtorek, czwartek i sobotę z dodatkami „Gwiazdka Niedzielną”, „Rolnikiem i Przemysłowcem” i „Aniołem Stróżem”. — Przedpłata na pocztę wynosi 1 markę 25 fenigów czwórcrocznie. W Gdańsku, w ekspedycji i w agencjach, 1 markę, 1/2 odnośnie do domu 1,25 mk.

Prawdą a Bogiem!

Ogłoszenia przyjmuje się po 15 fen. płatnych w Gdańsku od 6-ciołamowego wiersza petytowego. Agentura do przyjm. ogłoszeń w Poznaniu: Teodor Lange. Adres: „Gazeta Gdańska”, Gdańsk (Danzig), Vorstädtischer Graben 49.

W piątek Germana b.
W sobotę Teodoryi p., Teodora.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Dziś wschód słońca 3 49 zachód 8 6
Dziś wschód księżyca 1 47 zachód 2 4

**Uczmy dzieci nasze
czytać, pisać i modlić
się po polsku!**

Zielone Świątki.

Uroczystość tę obchodzi Kościół św. na cześć Ducha świętego, który w postaci ognistych języków zstąpił na Apostołów, i dał im tem samym moc głoszenia narodom, żyjącym w mrokach pogaństwa, nauki Chrystusowej, w ojczystym każdego narodu języku.

Po chwalebnym zmartwychwstaniu Chrystusa drugi to najwspanialszy cud w historii naszego Kościoła świętego. Bóg Ojciec, zsyłając Ducha świętego na Apostołów, ażeby dać im władzę przemawiania wszelkimi językami, uświęcał tem samem mowę każdego narodu, i uznał ją za główne narzędzie ku zdobywaniu sobie obfitości prawd wiary św. Apostołowie, którzy po śmierci Mistrza swego, czuli się bezradni i opuszczeni, słabymi na ciele i duchu, uczuli w sobie w chwili otrzymania darów Ducha św. moc nadprzyrodzoną. Dotąd bez wiary w powodzenie apostołstwa Chrystusowego, odczuli w sobie tak niezmierną potęgę i taką ufność w swe posłannictwo, uczuli w sobie tyle nadprzyrodzonej mocy, że postanowili świat cały ruszyć w podstawach, ażeby pod nauką Chrystusa Pana podłożyć takie fundamenty, którychby bramy piekielne nie przemogły.

A tę silną wiarę i ufność w powodzenie swego apostołstwa czerpali apostołowie święci z mocy władania wszel-

kimi językami. Każdy naród na własnym swym języku miał nie tylko słowami poznać niezgłębioną słodycz tajemnic nowej nauki Chrystusowej, ale zarazem sercem pokochać ową naukę, ażeby dla niej i przez nią żyć, i dla niej móż umierać. A przecież tylko w ojczystej mowie prawdy wiary św. głosząc, mogli apostołowie święci liczyć na powodzenie. Bo jako ziarno tylko na ciepłej, dobrze mierzwionej ziemi należycie przyjąć się może i owoc stokrotny wydać, tak też i objawienie tajemnic nowej Chrystusowej nauki przyjąć się mogło tylko na gruncie serc ludzkich, które tajały pod ożywcą rosą ciepłych słów, głoszonych w ojczystym języku każdego narodu.

Uroczystość Zielonych Świątek jest więc uroczystością, uświęcającą mowę wszystkich narodów. Duch święty jako trzecia osoba Trójcy Przenajświętszej, spuszczając na apostołów ogniste języki, uświęcił tem samem mowę każdego narodu. Krzywdzenie mowy narodu sprzeciwia się zatem istocie nauki Chrystusowej i krzywdzi tem samem ją samą. Gdyby bowiem Chrystus Pan był pragnął, ażeby Bożka nauka Jego była głoszoną w jednej mowie, naprzykład łacińskiej, która była wówczas mową panującą, czyli tak zwaną kulturalną, jaką jest mowa niemiecka w obrębie państwa niemieckiego, naówczas byłby dał przez Ducha św. apostołom moc głoszenia Swej nauki w tym jednym tylko języku.

Nauka Chrystusowa nie patrzy jednak na kultury narodów, jeno na serca narodów, a do serca narodów dojść można tylko za pomocą ojczystego języka. W kulturowy sposób, za pomocą miecza i ognia szerzyli chrześcijaństwo wśród słowian krzyżacy, i rychlej by-

liby słowian doszczętnie wytępilli, zanim by byli zdolali ich zawrócić na wiarę chrześcijańską. Stało się to dopiero wówczas, gdy królowa polska Jadwiga, pojawiając pogańskiego litewskiego księcia Jagiellę za małżonka, postarała się o nawrócenie litwinów za pomocą ich języka ojczystego.

I dziś mamy krzyżaków katolickich, którzy pragną kulturą językiem niemieckim zachować nam polakom pod praskiem panowaniem wiarę świętą. Nie dokażą tego, bo ich dążności sprzeciwiają się Duchowi świętemu. Tak jak po śmierci Chrystusa Pana można było wyzwać narody z pogaństwa w ich ojczystej mowie, tak i po dziś dzień jeszcze można zachować narodowi jego wiarę świętą tylko za pomocą pielęgnowania jego mowy ojczystej. Kto mowę ojczystą poświęca na ołtarzu mołocha pruskiego systemu państwowego, ten sprzeciwia się Duchowi św. i krzywdzi Kościół święty.

Germanizacja przez Kościół a organ centrowy.

Centrowy „Westpreussisches Volksblatt” nie zaprzestał walki z gazetami polskimi. Nie chce tego zrozumieć, że gazety polskie słusznie zwalczały niemczenie przez Kościół święty, że się więc domagają, ażeby polscy dycezanie mieli swych polskich duszpasterzy, i ażeby z drugiej strony niemiecki duszpasterz szanował narodowość i mowę swych polskich owieczek.

Zamiast to przyznać, uderza pewien kapłan niemiecki znowu w nasze polskie pisma, i za to, że nie domagają się niczego więcej, jak sprawiedliwości od władzy duchownej, zarzuca im „bez-

denną nienawiść do wszystkiego co niemieckie”, „brak katolickiego ducha i katolickiego poczucia”, „brak szerszego rozumienia naszych stosunków kościelnych w Prusach Zachodnich” itd. Zamiast jednak te zarzuty, czynione polskim gazetom, udowodnić, jakby to się należało w imię słuszności i celem wzajemnego porozumienia się, wziął się ów kapłan niemiecki znowu do jednostronnej obrony niemieczyny. Jego zdaniem zatem będą gazety nasze polskie zasługiwały na pochwałę wtenczas dopiero, gdy będą niby niemowy milczały na pracę germanizatorską niemieckiego duchowieństwa, a na większą jeszcze pochwałę zasłużą sobie wtenczas, gdy przyznają, że kultura niemiecka wyższą jest od polskiej, i gdy przyzwolą na to, ażeby paraflanie polscy i diatwa polska w tej kulturze się topiły.

Ów kapłan niemiecki w ponownym artykule, zamieszczonym we „Volksblacie”, wyraźnie znowu potwierdza, że kultura niemiecka jest wyższą, i że dzieci polskie mogą być śmiało przygotowywane do sakramentów świętych w niemieckim języku, bo to może być dla duszy katolickiej „dziecka nieraz z większym pożytkiem, aniżeli wówczas, gdyby je przygotowywano w języku polskim. Ów kapłan, który przyznaje się do tego, że jest kapłanem, powiada tak: „I my stoimy na stanowisku, że dziecko winno się kształcić w ojczystym języku; ale w pierwszym rzędzie nie dla polskości lub niemieckości, ale przede wszystkim dla zbawienia duszy jego. Ja zatem przy nauce przygotowania wybiore ten język, z którego dziecko ma największą korzyść, w którym swe wiadomości religij-

Tajemnice dworu sułtańskiego.

Powieść.

(Ciąg dalszy.)

Jakkolwiek torba mieściła w sobie drogocenne klejnoty, strata ta nie zdawała się być dla niej dotkliwą; dopiero kiedy sobie nagle przypomniała, że w torbie tej znajdowały się pewne papiery, zbladła i zdawała się być stratą wielce zaniepokojoną.

— Muszę wam wyznać, że ja tę Miss Stradford brałam za agentkę dyplomatyczną, która w tajemnych interesach z angielskiego ministerium tutaj przysłała została.

— Hassan już cały romans ułożył — rzekł śmiejąc się Zora.

— Pozwól tylko, mój przyjacielu, Hassan może się wprawdzie mylić, jednak czasami ma dobre oko — odpowiedział Hassan.

— I cóż się dalej stało? — zapytał Sadi-bej.

— Miss Sara Stradford zwróciła się z prośbą do Zory, żeby jej dopomógł do odzyskania torby podróżnej i ten udał się natychmiast do kapitana, podczas gdy parowiec dopływał już do brzegu. Kapitan rozkazał natychmiast wstrzymać wysiadanie pasażerów i przedsięwziąć przeszukiwanie całego statku. To doprowadziło do żądanego rezultatu. Torba znalazła się jeszcze

niepokrzywdzona w kącie jednej kajuty i piękna angielska odebrała z ręki Zory swoją własność. Podziękowała i pozwoliła się nam odprowadzić ze statku. Na bulwarze służący jej daremnie szukał powozu angielskiego poselstwa, który miał ją zawieźć do hotelu w Pera. Powozu nie było. W nowym tym kłopotcie Zora oświadczył się z gotowością służenia jej swoją piękną kolaską i Miss Stradford przyjęła chętnie tę kawalerską usługę naszego eleganckiego towarzysza. Nagrodziła woźnicę kilkoma sztukami złota — i od tego czasu jużśmy jej więcej nie widzieli.

— Kiedyż to było? — zapytał Sadi.

— Może przed tygodniem, kiedy ty pojechałeś do Skutari, szukać śladu twojej Rezi.

— Angielka знаła przecież tylko was dwóch, mnie nie; zaproszenie musi tedy mieć jeszcze inny powód — rzekł Sadi.

— Niech będzie jak chce, towarzysze — zawołał Zora-bej — zgadzamy się na zaproszenie. Przedstawiać się naprzód w poselstwie w podobnym razie nie potrzeba; mojem zdaniem chodzi tu o zbiorowe zaproszenie nowych oficerów. My dzisiaj wieczor w mieście, w gmachu poselstwa w Pera, oddamy nasze karty, to wystarczy i znaczy zarazem przyrzeczenie.

Hassan i Sadi zgodzili się i zrobili jak Zora im doradził. Tymczasem nadszedł dzień, w którym wieczorem i w

nocy miała mieć miejsce uroczystość ogrodowa w Bujukdere.

Na przyjęcie licznych gości poczynione zostały w pałacu i ogrodzie nadzwyczaj świetne przygotowania i posel rozkazał, by wszystko urządzone było z jak największym zbytkiem, bez względu na to, co by to kosztowało.

W chłodnych pokojach pałacu były pourządzane wodotryski, które wyrzucały pachnącą wodę. Salony te miały być zarezerwowane dla księżniczek i księżąt, skoroby ci chcieli się usunąć z natłoku gości; w innych pokojach, obok parku, znajdowały się urządzone bufety.

W rozmaitych punktach parku umyślnie na tę uroczystość powznoszone były kioski i altany, które z kilku stron były otwarte i tutaj podawano w bluszczących się naczyniach przy wspaniałej zastawie, wszelkie możliwe zastawy i chłodniki, potrawy i łakocie. W parku nawet tak wszystko było przygotowane, by zabawa nocna była prawdziwie królewska.

Na dachach pałacu powiewały chorągwie Anglii i Turcyi, a w różnych miejscach parku rozwinięte z barden pełne gustu dekoracje na których widniały barwy wszystkich krajów Europy.

Ogród sam utrzymany był przez francuskiego ogrodnika, zupełnie w stylu słynnego ogrodu w Wersalu. Wspaniałe zasłonięte altany, sztuczne baseny z figurkami marmurowymi, kaskady,

w cieniu drzew ukryte pustelnie, tarasy z oranżeryami, chłodne wśród rozkosznej zieleni aleje, wszystko to było w miniaturze i z gustem naśladowane; były także miejsca, gdzie znajdowały się angielskie dywany darniowe, inne znów, dające przepyszne widoki na Bosfor, na malownicze brzegi i lekko wiatrem poruszaną wodę, wszystko więc znajdowało się w tym parku, który jakkolwiek mniejszy i nie tak wspaniały jak Wersalski, położeniem wszakże przewyższał takowy.

Skoro nadszedł wieczór i pierwsi goście byli oczekiwani, ogród zamienił się nagle w morze różnokolorowych płomieni i lamp, co nadawało całości nieopisanie czarowny widok.

Rabaty gazonów otoczone były gorzącymi kwiatami, które tak wiernie naśladowały naturę, że wprowadzały w podziw patrzących na nie, dalej w alejach wznosiły się wszystkimi kolorami błyszczące bramy tryumfalne, znów w wężykowatych kierunkach, niby świecące robaczki świętojańskie lub jak miliardy gwiazd, porozwieszane były aż do szczytów drzew starych małe lampki — wreszcie wodotryski wyrzucały teraz w powietrze zamiast wody różnokolorowe słupy ognia.

Jakież to wrażenie sprawić musiało podobne oświetlenie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ne i uczucia najlepiej po-
muje i dla późniejszego cza-
su zachowuje. Tym językiem
nie jest jednak u wielu dzie-
ci w naszych mieszanych stosunkach
ten język, w którym mówią ze sobą za-
wyczaj rodzice. Przyjęte prawidło, że-
by dziecko uczyło się w tym języku,
którym przemawiają lub w którym
modlą się ojciec i matka, w niejednym
wypadku słuszności ze sobą nie ma. Jako
kapłani mamy obowiązek, kształcić
dziecko w prawdach wiary św. i zrobić
z niego dobrego katolickiego chrześcia-
nina, a wtedy muszę posługiwać się tym
językiem, w którym cel ten najlepiej osiągnę.

Tak oto pisze ów kapłan niemiecki,
a zapatrywania jego przypominają nam
głośny wypadek ks. kanonika Sporsa z
dziewczynką polską, do której w paź-
dzierniku zeszłego roku, gdy chciała
uczęszczać na polską naukę przygoto-
wawsza, powiedział, że w tym razie
nie potrzebuje matki słu-
chać, gdyż co do religii ma
tylko Kościół prawo wyboru,
w jakim języku należy dzieci
przygotowywać do pierwszej
komunii św.

Wówczas to kilku polskich księży
z naszej chełmińskiej diecezji potępiło
to zapatrywanie ks. kan. Sporsa, i
powołało się nawet na innych księży
niemieckich, z których jeden wyraźnie
oświadczył, że kapłan niemiecki, który
pragnie pozyskać sobie zaufanie pola-
ków, powinien przedewszystkiem poznać
i uszanować ich język.

Ten sam kapłan polski, który przy-
toczył głos tego niemieckiego kapłana,
powiedział dalej:

„Niechże ks. S. wskaże poważne
katolickie dzieło, z któregoby można
się o prawdziwości jego twierdzenia
przekonać. Kościół bowiem nie roz-
strzyga, ale miał i ma w po-
szanowaniu wolę rodziców
co do nauki religii. Że tak
jest, o tem go też jego przelo-
żona władza pouczyć może“.

A dalej powiada ów polski kapłan:
„Widocznie ks. S. opanował tak bardzo
germanizatorski zapęd, że zapomniał o
tem, iż dzieci w tem, co się Bogu
podoba, co godziwe jest, ro-
dziców swoich słuchać po-
winny“.

A dalej:

„Jest to znamienity znak czasu, że
tak ks. S. jak i inni duchem mu bliższy
księża niemieccy przez takie po-
stępowanie polskich parafian
od Kościoła odstręczają.“

A śp. ks. biskup Redner oświadczył
w roku 1890 ks. prob. Batkemu w Ra-
domnie:

„Ani ks. proboszcz, ani ktokolwiek inny
na całym świecie nie rozporządza, w jakim
języku nauka przygotowawcza ma być dzie-
cku udzielana. O tem stanowią jedynie sami
rodzice“.

Kapłan niemiecki, który zatem po-
pisał takie rzeczy we „Volksblacie“,
który więc twierdzi, że nie rodzice jeno
duszpasterz stanowią o tem, w jakim języku
dziecko w danym wypadku ma być przy-
gotowane do sakramentów św., stanął
w sprzeczności z nauką Kościoła św.

Jeżeli kapłan ów w tym samym
artykule, w którym takie rzeczy popi-
sał, zarzuca naszym polskim gazetom
brak ducha i poczucia katolickiego, to
my prosto nie wiemy, co o tem są-
dzić. Jedno tylko wynika jasno:

Ów kapłan niemiecki stoi na
gruncie polityki pruskiej. Ponieważ
jego zdaniem szkoła niemiecy dzieci,
więc Kościół św. w Prusach powinien
odgrywać najemnika systemu szkol-
nego i niemiecy te polskie dzieci,
które wskutek tego po polsku albo
wcale, albo też tylko lichy czytać się
nauczyły. I w tym względzie wbrew
nauce Kościoła św., wbrew słowom
śp. ks. biskupa Rednera powinien
kapłan niemiecy także dzieci nawet
wbrew życzeniu samych rodziców.

Naszym zdaniem powinien w tej
materii
zabrać głos koniecznie ks. biskup Rosen-
treter, inaczej musimy przypuszczać, że
się pisze na zapatrywania owego kapłana
we „Volksblacie“, i wówczas stanie w
przeciwieństwie do swego poprzednika na
stolicy biskupiej, śp. biskupa Rednera.

Tego wymagać należałoby koniecznie
właśnie dla tego, żeby wskazać nareszcie
jasną drogę, którą kroczyć powinni księża
niemieccy, i żeby usunąć zaniepokojenie
sumień u polskiego duchowieństwa. Inaczej

walka, którą na łamach polskich i nie-
mieckich pism katolickich toczą obecnie
nasi kapłani polscy i niemieccy ze sobą,
przybrać musi takie rozmiary, że na tem
urok naszego św. Kościoła szkodę ponieść
musi.

W „Pielgrzymie“ radzi pewien ka-
płan polski, żeby duchowieństwo pol-
skie z naszej diecezji powzięło zbior-
ową jakąś akcyę. Naszem zdaniem
byłoby to koniecznością, żeby zapro-
testować przeciwko pruskiemu katolicyzmo-
wi, który kapłan niemiecki głosi w katolic-
kiem niemieckim piśmie. Mówimy „pruski
katolicyzm“, bo byłoby to wprost niesły-
chaną krzywdą dla nas polaków i dla Ko-
ścioła św., żeby miało się wykaazać, że władza
biskupia stoi na tem samem stanowisku, co
ów kapłan niemiecki, to jest, że pozwala
nawet wbrew życzeniu rodziców na niem-
czenie dzieci polskich za pomocą nauki przy-
gotowawczej do sakramentów świętych. —
Wówczas wrota naszych świątyń Pań-
skich byłyby dla niemieczyzny na oścież
otwarte, i nieby kapłanów niemieckich
nie powstrzymało więcej od uprawiania
jak najgorszego niemczenia.

Taka zbiorowa polityka duchowieństwa
polskiego do ks. biskupa, a w danym ra-
zie do Stolicy św. jest naszem zdaniem
nie tylko konieczną, ale powinno się ją
urządzić w jaknajbliższym czasie.

Naszem zdaniem niemiecki kapłan
katolicki nie byłby się zdobył na tak
publiczne popieranie niemieczyzny, gdy-
by nie wiedział o tem, że ma plecy za
sobą. A może to nawet napisał w tem
przypuszczeniu, że ks. biskup tego nie
potępi, bo wówczas będzie mógł w imie-
niu niemieckiego duchowieństwa twierdzić,
że ks. biskup na takie niemczenie owie-
czek i dzieci polskich się godzi.

Oby na podstawie tego, cośmy po-
wyżej napisali, nabrano przekonania,
jak groźne nad nami zawisło niebez-
pieczeństwo niemieckie.

Nigdy dotąd żaden kapłan nie zdo-
był się na publiczną pochwałę dla kul-
tury świeckiej, żaden kapłan nie zdo-
był się na publiczne zachwalanie niem-
czenia dziatwy polskiej. Te pochwały
rządowej pruskiej polityki ze strony
kapłana katolickiego nie są niczem
więcej, jak

ulatwianiem niemieccyjskich rządów ks.
oficyała Scharnera. To co zmarły oficyał
czynił bez rozgłosu dla niemieczyzny, to ma
się odtąd odbywać jawnie. Księża nie-
mieccy mają mieć jawne prawo niemczenia
dziatwy polskiej, mają mieć więc urzędowe
pełnomocnictwo ze strony urzędu biskupiego.

Raz jeszcze powtarzamy, że władzy
biskupiej należałoby tu głos zabrać,
czy się godzi na zapatrywania kapłana-
niemca, wyrażone we „Volksblacie“. A
duchowieństwo nasze polskie niewątpli-
wie tym razem zabierze się do jakiegoś
protestu — w imię przyszłości nie tylko
naszej polskiej, ale i Kościoła św. w
naszej diecezji.

W sprawie banku hipotecznego.

Do „Postępu“ piszą:

„Postęp“ umieścił w ostatnim czasie
kilka artykułów w sprawie założenia
banku hipotecznego.

Mojem nieprzesadzającym zdaniem
nie można ani pomyśleć o urzeczywist-
nieniu tego projektu.

Przypuśćmy, iżby się zebrało 10 mi-
lionów — chociaż w naszym położeniu
nawet o 3 milionach nie można marzyć
— cóżby bank ten mógł zdziałać?

Pożyczki na lepsze kamienice i na
posiadłości ziemskie wynosiłyby prze-
cięciowo około 100 000 (sto tysięcy) ma-
rek; ponieważ zaś pożyczki takie z na-
tury swej musiałyby być niewypowie-
dzialnymi i amortyzującymi się, przeto
przez udzielenie 100 (sto) pożyczek w
przeciętnej wysokości 100 000 (sto tysię-
cy) marek wydanoby owe 10 milionów;
następnie możnaby tylko odsetki obra-
cać na udzielanie pożyczek; odsetki te
wynosiłyby rocznie po potrąceniu kosz-
tów administracyjnych najwyżej 400
tysięcy marek; gdyby się wbrew wszel-
kim zasadom finansowym nie chciało
tworzyć żadnych funduszy rezerwowych,
to obracając odsetki bez udzielania po-
życzek, możnaby ich przecięciowo co-
rocznie udzielać aż 4.

Spytasz, dla czego niemieckie banki
hipoteczne tak wielki mają obrót?

Polega to na tem, że niemieckie
banki hipoteczne wystawiają obligacye
(Schuldverschreibungen) czyli innemi
słowy banki te wydają papiery, sprze-
dają je na giełdzie, dostają za nie go-

łównkę i przez to mają pieniądze na
udzielanie coraz to nowych pożyczek.
Nasz bank hipoteczny nie mógłby wy-
dawać takich obligacyi, bo do tego po-
trzeba zezwolenia rządowego (prawo
niemieckie o bankach hipotecznych z
dnia 13. 7. 99.).

Mógłby może kto powiedzieć, że bank
przyjmowałby depozyta; to nie dałoby
się przeprowadzić; hipoteki byłyby bo-
wiem niewypowiedzialne, depozyta zaś
wypowiedzialne; gdyby więc bankowi
wypowiedziano depozyta, toby, nie mo-
gąc ich spłacić, popadł w konkurs.

Zresztą nieuzasadnionem jest przy-
puszczenie, że znajdują się ludzie, którzy-
by złożyli miliony z obowiązkiem nie-
brania wyższej dywidendy nad 4 proc.;
gdyby coś podobnego zaszło, świadczy-
łoby to źle o naszym zmyśle finanso-
wym. Inną jest rzeczą: lokowanie pie-
niędzy w bankach angielskich po niskiej
stopie procentowej, a inną kupowanie
akcyi o niewyższej dywidendzie jak 4
proc.; tam można kapitał każdej chwili
resp. po pewnem wypowiedzeniu wyco-
fać, tu zaś wycofać go nie można, a
przynajmniej nie tak łatwo i zawsze
prawie z stratą; gdyby akcyę miały
kurs giełdowy, toby pozbywanie się
ich było łatwiejszem, ale wtenczas by-
łaby obawa, że akcyę przejdą w ręce
niewłaściviwe.

Poznań, dnia 21 maja 1909.

W. Wyczyński.

Sprawy polskie.

* Hrabia Potulicki, co to Kruszewo ko-
lonizacyi zaprzedał, ogłosił w „Dzien.
Poznańskim“, że wybrał sąd honorowy,
który ma rozstrzygnąć, o ile on winny
sprzedawczykostwa. Lepiej by on on
zrobił, żeby udął się w pokorę, i Naj-
wyższego Sędziego w niebie prosił o
zmiłowanie z powodu swego judaszow-
skiego szachrajstwa, bo mu to potrzeb-
niejsze obecnie od sądów honorowych.
A sędziowie honorowi powinni o tem
pamiętać, że wyżej od zbyszczeszczono-
go honoru Potulickich stoi obrazony
śmiertelnie majestat ludu polskiego, i
że Pan Bóg w niebie może ich lub
dzieci ich pokarać hańbą sprzedawczy-
kostwa za to, że narodowy grzech śmier-
telny pragną okryć płaszczem niewin-
ności.

Przegląd polityczny.

— Eulenburg na swobodzie. Książę
Eulenburg, oskarżony jak wiadomo, o
rozpusztę sodomską, wyjechał do Austrii
na kuracyę do kąpieli w Gastein. Po-
nieważ proces przeciw niemu nie został
dotąd umorzony, przeto musiano zażą-
dać wpięć pozwolenia od prokuratora,
co też nastąpiło.

— Pomiędzy Austrią a Włochami rwie
się przyjaźń na dobre. Rząd austrya-
cko-węgierski powziął uchwałę, żeby
nie brać udziału w półwiekowej uroczy-
stości okrzyknięcia jednności włoskiej,
które nastąpiło w roku 1861. Główną
przyczyną tej odmowy był widocznie
względ cesarza austriackiego na Stoli-
cę świętą, której z okazji owej jedno-
ści włoskiej zabrano dziedzictwo Pio-
trowe.

— Rząd bułgarski postanowił nie roz-
puszczać na razie rezerwistów. Chodzi
tu znowu o zatarg ze rządem tureckim
o kolej wschodnią. Wojny z pewnością
nie będzie, ale Bułgarya zamierza
turka zniewolić nareszcie do załatwienia
tej sprawy i chce mu udowodnić, że
gotowa jest zmusić go do tego, chociaż-
by miała z nim o to wojnę prowadzić.

— Rządy w Turcyi. Rząd turecki
przedłożył parlamentowi w poniedział-
lek program przyszłych swych rządów.
Zapowiedział pomiędzy innemi ulepsze-
nie administracyi państwowej, żeby
więc państwo miało lepszych urzędni-
ków, aniżeli dotąd, dalej zmianę prawa,
dotyczącego służby wojskowej, a wresz-
cie podniósł prezes ministrów, że rząd
będzie się starał o podniesienie mate-
ryalnego dobrobytu wśród obywateli.
Z państwami europejskimi postanowił
rząd turecki żyć w jak najlepszej zgo-
dzie.

Państwo tureckie miało przy zmia-
nie rządów 6 milionów funtów (funt
18 marek) długów, ale przez nagroma-
dzenie rozmaitych funduszy zmalał
dług ten na 2 miliony, które da się
prawdopodobnie umorzyć bieżącymi wy-
datkami bez zaciągania pożyczek.

— W Syryi zanosi się na rewolu-

cyę. Ludność tamtejsza domaga się
samorządu i nie chce rychlej uznać pa-
nowania obecnego sułtana. W Kon-
stantynopolu lękają się następstw re-
wolucyi, ponieważ wojsko tamtejsze za-
mierza do niej w pierwszym rzędzie się
przyłączyć.

Wiadomości kościelne.

— Chełmińska diecezja. Otrzymali in-
stytucyę kanoniczną: ks. prokurator
Edward Balzer z Pelplina na probostwo
w Golubiu; ks. Franciszek Drapiewski
na probostwo w Szpornicach. — Po-
sade prokuratora przy seminarjum
duchownem otrzymał ks. wikary dr.
Rogała.

— Poznań. Jak to protestantyzm u
nas wzrasta, to dowiadujemy się z urzę-
dowych wiadomości konsystorza luter-
skiego w Księstwie. W całym Księstwie
jest parafii czyli gmin luterskich 336
a w tych jest czynnych 309 pastorów.
Z tego przypada na obwód rejencyjny
poznański 165 parafii z 167 pastorami,
a na obwód rejencyjny bydgoski 171
parafii z 142 pastorami. Z tego się oka-
zuje, że luteranizm w regencyi bydgos-
kiej zapuścił silniejsze korzenie, aniżeli
w poznańskim obwodzie. Germanizacya
i luteranizm nad Notecią już od dawniej-
szych lat się rozpowszechniały. Teraz
całą siłą pary pracuje rząd i pastory
nad szerzeniem protestantyzacyi w na-
szych stronach.

Korespondencye.

Kościerzyna w maju 1909. O sławnej
z czasów ks. Kralewskiego Kościerzynie
oddawna już nie nie słyhać, tak, że
zdawać by się mogło, że tegoroczne
zimne wiatry wszelkie z niej wywiałły
życie. Tak jednak nie jest. Kościerzyna
zgodnie z postępem czasu rośnie i roz-
wija się olbrzymio, mianowicie pod
względem podatków i niemieczyzny.

Nie gnuśnieje też pod względem
narodowym polskim, tylko, że w tej
dziedzinie w przeciwnym dąży kierun-
ku. Ale te wspomniane postępy w naj-
większym się dokonują spokoju, tak,
że spokój ten za wzór posłużyć może
innym miastom, w którym to też celu
głównie korespondencyą tę podaje.

Przedewszystkiem pozbyliśmy się w
miejscu krzykactwa i zamknęliśmy zbyt
szerokie usta niektórym niedowarzonim
i krzykliwym głowom, pozatem samo-
lubstwo i ślamazarność polska dopełniły
reszty.

W tym roku zdobyliśmy się na czyn
prawie bohaterski. Kupiliśmy dom
polski, któremu daliśmy nazwę „Bazar“
(bajeczne nazwisko!) Zarząd wybraliśmy
z wyjątkiem księdza Wróblewskiego
iście świetny. To też dziw, że dom ten
prosperuje wymiennie. Przedewszyst-
kim żaden z znaczniejszych polaków,
ba, nawet akcyonaryuszów, do niego
nie uczęszcza i dzierżawca lokalu chcąc
jako tako utrzymać swoją szczytencę,
jest zmuszony do urządzania w nim
niemieckich tyngeltangli. Za to nasi
najprzedniejsi polacy skwapliwie upija-
ją się u obcego i rzucają złotówkami
na szampany jak chłop mierzwą na
polu. Krzykaczki grozili nam kupującą
publicznością polską, ale zdołaliśmy ich
uspokoić. Wiemy bowiem nadto dobrze,
że lud na naszej słabości się nie pozna
i w imię zasady „swój do swego“ gor-
liwie nas popierać będzie.

Nic nowego jednak, jeżeli wskutek
tego nasze życie narodowe zmarniało.
Towarzystwa jak towarzystwo wybor-
cze po pierwszym jęku natychmiast na
nowo zamknęło oczy prosto z wygody
zarządu. A takich przykładów u nas
wiele.

Wobec tego demoralizacya i niem-
czyzna coraz szersze zatacza koła wśród
innych warstw i młodzieży, chociaż ta
ostatnia niejednokrotnie pokazuje szczerą
chęć i na postępkach starszej braci pa-
trzy z oburzeniem. Nic to jednak na-
szego pokoju nie mąci, i muru wygody
własnej, samolubstwa i ślamazarność
nie zmienia, tak, że życzliwym sprawie
kaszubskiej gazetom i działaczom naro-
dowym spokojnie powiedzieć możemy:
Nie troszczcie się o Kaszuby, bo my
je sami zdołamy przyprowadzić do
zguby.

Wesoły Michałek.

Oczywiście, że korespondent zguby
naszych Kaszub nie chce, jeno z żalości
nad smutnem położeniem naszym w
prastarej polskiej Kościerzynie dogryza
w tak gorzki oto sposób tamtejszym

działaczom naszym. Niewesołe kreślące korespondent widoki na przyszłość tamtejszemu „Bazarowi”. Należy zawczasu pomyśleć o naprawie rzeczy, bo Kaszuby całe okryłyby się sromotą, gdyby przedsięwzięcie to zmarniało. Musi tam w tej Kościerzynie panować wielki brak zgody i miłości bratniej, skoro taki, wprost hańbiący, panuje brak poczucia popierania własnego przedsiębiorstwa. Że też to my polacy wszędzie i zawsze własne sprawy, kłótnie, niesnaski, zazdrostki, wyżej stawiać musimy od wspólnego dobra publicznego. Przyp. Red.

Nowiny z naszych i dalszych stron.

Gdańsk, dnia 27. maja 1909.

— Stan wody w Wiśle wynosił dnia 27. b. m. pod Toruniem + 1,92, pod Fordonem + 1,94, pod Chełmnem + 1,94, pod Grudziądem + 2,22, pod Kurzebrak + 2,56, pod Malborkiem + 2,12, pod Tczewem + 2,70, pod Schiewenhorst + 2,46.

— Biuro Straży w Poznaniu przy Alejach nr. 18, otwarte codziennie od godz. 11—1 i 4—6, w niedziele i święta od godz. 12—1. Telefonu nr. 1640.

— Gdańsk. Walne zebranie Spółki budowlanej w Gdańsku odbędzie się nie — jak mylnie podano — w piątek, 4 czerwca, tylko w poniedziałek dnia 7 czerwca. Blizsze szczegóły w ogłoszeniu na czwartej stronie „Gazety”.

— Jak donosiliśmy, uchwalila komisja rugów wyborczych uznać wybory konserwatywnych posłów z Gdańska Meyera z Rotmanek, Wolkowskiego i Carowa z Gdańska za ważne. Uchwałę tę powzięto 11 głosami przeciwko 2, tak że w obec takiej większości sejm uchwałę komisji niewątpliwie zatwierdzi. Równocześnie zażądała jednak komisja, ażeby w przyszłości pozwolono każdej partii przepisywać listy wyborcze, czego tym razem paty liberalnej w okręgu gdańskie nizin odmówiono. To nierówne traktowanie poszczególnych partii politycznych w okręgu gdańskim było właściwą przyczyną protestu.

— Oliwa. W Jelitkowie spalił się handlarzowi bydła Schönenbergowi chlew. W płomieniach zginęło również półtora tuzina kur i koza. Z pomocą straży pożarnej powiodło się sąsiednie budynki ocalić.

— Sopot. Dotąd zjechało do Sopotu około 100 gości kąpielowych. Otwarcie kąpeli morskich nastąpi 1 czerwca.

— Tak zwany uroczysty tydzień dla Sopotu przypadnie w tym roku w sierpniu, i potrwa od 8 do 15. tego miesiąca. Będą w tym czasie z dnia na dzień inne zabawy, wyścigi w pływaniu, w strzelaniu, w ujeżdżaniu motorami, w grze w tenisa, w śpiewaniu, w ubieganiu się na czołnach, będą dalej zabawy w grę w piłkę itd.

— Dotąd niewiadomo jeszcze, jaki będzie dopływ zamiejscowych gości kąpielowych.

— Hela. W poniedziałek udała się na Helę komisja śledcza, ażeby badać okolice, w której zamordowano przed niedawnym czasem dozorcę więziennego. Sprowadzono również na miejsce dwóch współwinowajców morderstwa. Trzeci z nich i to główny morderca, powiesił się niedawno.

— Puck. W Tupadle zaskoczył myśliwy Lücke rybaków Augustyna i Józefa Boldów, oraz Józefa Plińskiego przy rabowaniu drzewa. Nastąpiła wówczas wzajemna bójka, która skończyła się na tem, że myśliwy wystrzelił z fuzji, i Plińskiego postrzelił. Wówczas wszyscy trzej rzucili się na Lückę i wyrwawszy mu karabin, połamali go. Byliby go niezawodnie pobili, gdyby nie kordelas, którym w braku karabinu Lücke się bronił. August Bolda skazany został na 8, jego brat Józef na 5 miesięcy, a Pliński na kwartał więzienia.

— Wejherowo. W Kluczewie srożył się w zeszłym tygodniu gwałtowny pożar. Oto wiecher przerzucił z pieca polnego iskry na stodołę nauczyciela Tatulińskiego. Zanim nadeszła pomoc, ogarnął i zniszczył pożar stodołę, stajnię i dom mieszkalny. Dwóch dzierzawców zdołało ocalić zaledwie gołę zycie. Straty właścicieli są wielkie, bo nie zabezpieczonem nie było. W płomieniach zginęły 2 konie, 4 sztuki rogacizny, 6 świń i wszelki drób.

— Kartuzy. Do komisji dla szaco-

wania podatku od nas najpiękniej. Ks. Biskup sufragana, aby w niedzielę (tj. w Trójcę św.) konsekrować uroczyste nasz kościół bardzo wielki i piękny, zbudowany przed 6 laty, a następnego dnia udzielić Sakramentu Bierzmowania. Jak nam ks. w kościele zapowiadał, ma być w dniu konsekracji wielki pochód z pochodniami, iluminacya, śpiewy itd. Ostatni raz był ks. biskup w Sliwicach przed 18 laty.

— Wybór nowego sołtysa nastąpi prawdopodobnie na następne posiedzenie rady gminy.

— Kościerzyna. W Gdańsku przytrzymano na złodziejstwie 16-letniego syna pewnego handlarza świń ze Szatarni. Ojciec i syn przyjechali razem do Gdańska, i po załatwieniu interesów poszli do karczmy w pobliżu rzeczalni się znajdujące. Spał tam na kanapie pewien mistrz rzeźniczy, któremu z kieszeni wyglądała dobrze nabita portmonetka. Wyrostka wzięła pokusa i wyciągnął portmonetkę. Wydobywszy z niej talara, wsunął ją śpiącemu z powrotem do kieszeni. Gdy jednak po raz wtóry zamierzał wydobyc z niej 10-markówkę, zauważono kradzież. Posłano po policyanta, który przestępcę zabrał do więzienia. Było to potrzebne?

— Izba karna w Gdańsku zasądziła Walentego Peplińskiego i kominiarza Dzierzewskiego na długie więzienie za kradzież drzewa, której dokonali na pewnym mistrzu piekarskim z Kościerzyny. Pepliński z powodu, że był już częściej karany, skazany został na 1½ roku, Dzierzewski na 4 miesiące więzienia.

— Pelplin. Małżonkowie Muntowscy w Rajkowie obchodzili w sobotę 22 maja złote wesele. Cesarz ofiarował sędziwiej parze 50 mar. w upominku.

— W środę 2-go czerwca odbędzie się tu jarmark na bydło, konie i świnie.

Zebranie rzemieślników budowlanych, które się odbyło dnia 23 maja rb. na sali p. Szczęblewskiego celem założenia polskiego Związku Zjednoczenia Zawodowego na Pelplin i okolicę, zgasił, jak pisze „Pielgrzym”, p. Strużyński z Tczewa. Do pióra powołał p. Guzińskiego i p. Wiśniewskiego, obydwóch z Pelplina. P. Str. w dłuższym, treściwym przemówieniu rozwinął się o związkach wogóle, a o Zjednoczeniu Zawodowym Polskiem w szczególności, przedstawił potrzebę należenia do Związku polskiego oraz korzyści, jakie z tego Związku odnosimy. Dalej mówił p. Str., że organicza polska stara się i starać się będzie nadal, ile sił starczy, o polepszenie bytu swych członków.

Następnie udzielił głosu p. Duszyńskiemu z Lubiszewa, który odczytał ustawy Związku Zjednoczenia Zawodowego Polskiego.

Przy wolnych wnioskach zabrał głos p. Nacel z Rożentalu i p. Kawalerowski z Rajków.

Członków przystąpiło 23. Do zarządu należą: Jan Wiśniewski z Pelplina, przew., zast. Balzer z Rożentalu, skarbnik Justa z Pelplina, zast. Kujawski z Rożentalu, sekretarz Ksawery Nowak z Pelplina, zast. J. Guziński z Pelplina. Jako rewizorów kasy obrano Nacla z Rożentalu i Józefa Sikorskiego z Pelplina. Jako mężów zaufania: Adolfa Gajkowskiego z Rożentalu i Melchiora Migę z Rajków. Zebrania odbywać się będą w każdą niedzielę po pierwszym każdego miesiąca o godzinie 4-tej po południu na sali p. Szczęblewskiego w Pelplinie.

— Lipienki. W lokalu p. Kamińskiego odbył się zeszłej niedzieli po głównem nabożeństwie wiec, na który się stawiło około 150 osób. Wiec zgasił p. Józef Gryza. Na przewodniczącego zaproponowano p. Jana Brodowskiego z Lipinek. Przemawiał p. redaktor Rakowski od „Gazety Grudziądzkiej” i w przesłano półtoragodzinnej mowie wyłożył smutne położenie nasze i obowiązki ztąd dla nas wynikające. W dyskusji zabierali głos pp. Gryza, Ciechowski, Rakowski i Cieszyński. Założono też zaraz Towarzystwo. Na prezesa wybrano p. Alojzego Cieszyńskiego, na zastępcę p. Józefa Gryzę, na sekretarza p. Jana Bukowskiego, na zastępcę p. Leona Ziółkowskiego, na skarbnika p. Brodowskiego, wszyscy z Lipinek, na ławników pp. Jana Gryzę ze Sumina, Antoniego Kujawskiego z Biskupca i Jana Kowalskiego z Lipinek. Rewizorami kasy wybrali zostali Mikołaj Cichowski z Biskupca i Leonard Kilian ze Sumina. Zebrania Towarzystwa odbywać się będą co niedzielę po pierwszym w lokalu, p. Makowskiego.

— Sliwice. Wielkie uroczystości przygotowują się dla naszej parafii. — Otoż 5 czerwca w obiad o pół 2 przy-

jeżdża do nas najpiękniej. Ks. Biskup sufragana, aby w niedzielę (tj. w Trójcę św.) konsekrować uroczyste nasz kościół bardzo wielki i piękny, zbudowany przed 6 laty, a następnego dnia udzielić Sakramentu Bierzmowania. Jak nam ks. w kościele zapowiadał, ma być w dniu konsekracji wielki pochód z pochodniami, iluminacya, śpiewy itd. Ostatni raz był ks. biskup w Sliwicach przed 18 laty.

— Świeckie niziny. Łąki nadwiślańskie wskutek ostatniej powodzi tak zostały zanieczyszczone, że trawy absolutnie użyć niepodobna na paszę, i bydło pasać trzeba z koryta, co powoduje naturalnie ogromne wydatki i straty. Właściciele z upragnieniem wyczekują deszczu, któryby nieczystości z traw pospłukiwał.

Malbork. W miejscowości Kuchwerd (3) w powiecie malborskim, porzuciła maciora u gospodarza Messerschmidta 15 żywych prosiąt. Ponieważ matka niezdolna wszystkich żywić, przeto część karmioną będzie sposobem sztucznym.

— Majątek p. Mierau'a w Lisewie, obszaru 322 morgi, nabył za 206 000 marek z pełnym żywym inwentarzem kapitalista Wiebe w miejscowości Brodack (3).

— Sztum. Gospodarza Gromeka z podzameczu sztumskiego, któremu, jak donosiliśmy, spaliło się gospodarstwo, przyaresztowano pod zarzutem podpalenia.

— Grudziądz. W sobotę rozbiegł się koń pułkownika Liebacha, który ujeżdżał foryś jego, szeregowiec Möhring. Żołnierz śmignięty został z wilką siłą o świecznik przydrożny i odstawiony został bez przytomności do lazaretu. Niema nadziei w utrzymanie mu życia.

— Bez śladu znikł syn gospodarski z Linówka Klann. Pił on z dwoma towarzyszami w karczmie w Świeciu. Tam pobili się z kilku parobkami. Jeden z nich trzech przenocował w Świeciu, Klann zaś udał się z drugim współtowarzyszem z powrotem do domu. W drodze postanowili wrócić się po towarzysza, który pozostał w Świeciu. Klann szedł naprzód, ale od tej chwili ślad za nim zaginął. Ponieważ łaskę jego znaleziono, przeto nie jest wykluczone, że został zamordowany. Przyaresztowano już też jakąś podejrzaną osobistość.

— Jakiś gospodarz z powiatu świeckiego sprzedał swe gospodarstwo za 13 800 marek, którą to sumę na tutejszym sądzie mu wypłacono. Szczęśliwie postanowił dzień ten oblać należycie, i waleśał się po rozmaitych karczmach z damską usługą. W jednej z nich zasnął, a gdy po pewnym czasie znalazł się na dworcu i przeliczył pieniądze, spostrzegł, że 1200 mar. mu brakło. Gdzie je stracił, o tem nie wie wcale.

— Jastrowie w powiecie waleckim. W okolicy palą się lasy miejskie. Spaliło się przeszło 250 morg.

— Lubawa. Zeszłej niedzieli odbywał się tu wiec ludowy przy udziale około 400 osób. Przewodniczył mu p. Teofil Żuchowski, prezes Towarzystwa ludowego w Szczepankowie. Przemawiali redaktor p. Stefan Hofman i dyrektor „Gazety Grudziądzkiej” p. Stefański, nawołując do uczenia dzieci w domu katechizmu, dziejów ojczyźtych i pielęgnowania śpiewu. Pan Kasprzyski ubolewał nad nieobecnością kupców polskich i duchowieństwa. Wiec zakończono wznesieniem okrzyku na cześć mówców, posła Kulerskiego i odśpiewaniem jednej zwrotki pieśni „serdeczna Matko”.

— Brodnica. Na drodze do Szczuki spalił się dom mieszkalny i obora, należące do niemieckiego gospodarza Neumanna. O ratunku nie było mowy, ponieważ obydwa budynki kryte były słomą. Z trudem wielkim zdołał gospodarz ocalić starą i schorzałą matkę swoją. W płomieniach zginęło także sporo drobiu.

— Z Golubia donoszą, że p. Zieliński, który zaprzepścił Lipię pod Golubiem zamierza podobno obecnie nabyć Wulkę od pana Alkiewicza, by majątek ten prawdopodobnie znów oddać w ręce obce.

— Wąbrzeźno. Niema to, jak grzać się pod słońcem komisji kolonizacyjnej. Oto gminie kolonizacyjnej, przechrzconej na Schönbrod (3), podarowano 400

gna, zwanego Zgnilką. Jedynym obowiązkiem, nałożonym gminie w zamian za podarowane grunta, jest dbać o to, ażeby łąki były utrzymywane w dobrym stanie.

Ślązk.

— Jakie życie, taka śmierć. Z Królewskiej Huty donoszą: W czwartek ostatni, gdy pociąg pospieszny, jeżdżący między Berlinem a Katowicami, przybył około 5 godziny po południu do Lignicy, zauważyli ludzie we wychodku tegoż pociągu wiszącego na sznurze człowieka. Niezwłocznie tedy otworzono wychodek, lecz wisielec już był bez życia. U wisielca znaleziono bilet III klasy, zegarek z łańcuszkiem, 3,90 mk. gotówki, oraz dokument sądu okręgowego z Berlina. Dokument ten powiada, że ekspedjent Jerzy Grutke (czy też może Grudka), urodzony dnia 19 sierpnia 1882 r. w Król. Hucie, wystąpił dnia 2 września 1908 z Kościoła katolickiego. — A więc najprzód widocznie się zniemczył, potem się wyparł swej wiary katolickiej otwarcie i kazał to sobie poświadczyć w sądzie, a w końcu się powiesił we wychodku.

Drobne nowiny.

— Bandę złodziei, złożoną z 300 osób, przyaresztowano w Petersburgu. Okradali przeważnie koleje. Koleje południowe okradli w przeciągu 3 ostatnich lat o 25 milionów rubli.

— Na wybrzeżach morskich Hiszpanii panowały burze. Zatonoło sporo statków i 12 osób życie postradało.

— W Mesynie zatrzęśła się w poniedziałek wieczorem gwałtownie ziemia. Wśród ludności powstał straszliwy popłoch.

— Państwo chińskie postanowiło wybudować 12 mniejszych okrętów wojennych, i poświęcić na ten cel blisko 80 mil. marek. Cały świat się zbroi zatem, i to się nazywa dążeniem ludzkości do wieczystego pokoju na świecie.

Wiece i zebrania odbędą się:

W Gdańsku lekcyja śpiewu Tow. „Lutni” dziś w piątek o godz. 9. wiecz. u p. Degenhardta przy Breitgasse nr. 83.
W Gdańsku Towarzystwo kobiet pod opieką M. B. 31. maja a nie 1. czerwca o 7. g. wiecz. u p. Degenhardta, Breitgasse 83.
W Gdańsku zebranie Tow. „Jedność” w przyszły wtorek o 9 wiecz. u p. Degenhardta przy szerokiej ulicy nr. 83.
W Kiełnie 30 maja Towarzystwo ludowe u p. Bobrickiego o godz. pół do pierwszej.
W Kościerzynie Kółko rolnicze 30 b. m. o 1 godz. w poł. u p. Muchowskiego.

Gdańskie ceny zbożowe.

Gdańsk, dnia 27. maja 1909.

Gatunek	Cena za podwójny cetr. mk.
Pszenica pstra . . .	17,60—18,80
„ czerwona . . .	00,00—00,00
„ biała . . .	00,00—00,00
Zyto . . .	19,00—19,20
Jęczmień duży . . .	00,00—00,00
„ mały . . .	12,20—12,60
Owies . . .	18,50—19,00
Groch biały d. gotów.	00,00—00,00
Otręby pszenne . . .	11,80—12,00
„ żytnie . . .	12,00—00,00

Berlińskie ceny zbożowe i kurs pieniężny.

Berlin, dnia 27. maja 1909.

Pszenica na październik	000,00 mk
Zyto na wrzesień	187,50 „
Owies na lipiec	185,00 „
3½ % pruska konsol. pożyczka państwowa	95,80 „
3½ % pomorskie listy zastawne	94,25 „
3½ % zachodnio-pruskie listy zastawne l B.	95,00 „
3½ % zachodnio-pruskie listy zastawne II.	92,00 „
Rosyjskie banknoty	215,65 „

Targ na bydło w Berlinie.

Berlin, dnia 26. maja 1909.

Spędzono: 5691 sztuk bydła rogatego 5916 cieląt 1083 skopów, 19964 świń.

Placono za 100 funtów wagi mięsa:

	I kl.	II kl.	III kl.	IV kl.	mk.
Stadniki . . .	—	—	—	—	„
Woly . . .	—	—	—	—	„
Krowy . . .	—	—	—	—	„
Ciołeta . . .	94—99	83—88	60—65	00—00	„
Skopy . . .	71—72	68—70	58—62	—	„
Swinie . . .	60—61	58—59	57—00	56—57	„

Redaktor odpowiedzialny W. Grima-mann w Gdańsku. Drukiem i nakładem „Gazety Gdańskiej” G. m. b. H.

16—17 Fischmarkt. 16—17

Świątobliwa dziewczica jaśnieje niebiańską światłością.

Czytamy w żywotach niektórych Świętych, że Zbawiciel, słońce sprawiedliwości, opromieniał blaskiem chwały sługi swoje we Mszy św. lub komunii św. Taką to łaską zaszczyconą była błogosławiona Łucya z Narni.

Pewnego dnia, gdy pobożnie słuchała Mszy św., wszyscy obecni w kościele widzieli trzy jasne promienie tryskające z krzyża na świętą dziewczę, oblewające ją światłością i wieńczące jej głowę koroną chwały.

Innego razu ukazała się jej św. Katarzyna Seneńska, spiesząc idąca po ciernistej drodze. Łucya, chcąc z nią zdążyć, w zachwyceniu wołała:

— Dokąd idziesz bezemnie, kochana matko? Nie spiesz się, zaczekaj ja pójdę z Tobą...

To mówiąc wzniosła się w powietrze i gdyby spowiednik nie nadbiegł, traciłaby się o lampę płonącą przed ołtarzem. Ze ta sługa Boża chciała naśladować św. Katarzynę na drodze cierpienia, dowodzą tego nadzwyczajne ostrości, posty, pokuty, jakimi zwykle się trapiła dla miłości swego Oblubieńca, Jezusa Ukrzyżowanego.

Pewnego razu, w święto Gromnie, gdy cała zatopiona w Bogu klęcząc przed wielkim ołtarzem słuchała mszy św., wszyscy w kościele ujrzeli zstępujących do niebios dwóch aniołów z wieńcami prześlicznych kwiatów, którymi uwieńczyli skroni św. dziewczicy, na co niektórzy z obecnych krzyknęli głośno: Łucya umrze prędko, bo w Narni był zwyczaj wieńczyć kwiatami zmarłe dziewczę.

Lecz i sam Pan Jezus ukazał się jej podczas podniesienia Hostyi w postaci ślicznego dzieciątka, jaśniejącego światłością. Promienne blaski tryskające z Bożej Dzieciny rozjaśniły oblicze świętej, zapalając w jej sercu taki pożar miłości, że zachwycona w duchu zawołała:

— O Boże miłości, czemuż Cię ludzie nie znają, czemuż Cię nie kochają! O ogniu Boży, rozpal ich zimne serca. Niech wszyscy kochają Jezusa! Niech go wielbią na wieki!

Te darywidzialne, jakie sługa Boża odbierała podczas Mszy św., były tylko słabym obrazem łask duchownych, jaśniejących w jej duszy. I tak Łucya miała szczególny dar poznawania rzeczy skrytych i oddalonych.

Oto jeden przykład.

Pobożna dziewczica zwykle po Komunii św. słuchała wszystkich Mszy św., które się w kościele odprawowały. Dwie jej służące korzystając z jej nieobecności, chciały się zabawić; zabiły dwie kureczki i przyrzadziły sobie śniadanie. Łucya tymczasem, widząc wszystko co one robią, aby dać naukę występnym, zagnęła wraca do domu i pyta o kureczkę. Służące przestraszone schowały się pod łóżko, odpowiadając, że zginęły i że nie można ich znaleźć.

— Po co to kłamstwo, rzeczy święta dziewczę, kto chce Boga oszukać, sam siebie oszukuje. I wchodząc do pokoju, woła na kureczkę, które wnetże mocą Bożą odżyły, odrywają się i przybiegają do swej pani.

Zdumione i zawstyżone dziewczęta z płaczem wyznały swą winę i za łaską Bożą szczerze się poprawiły.

Ufność nagrodzona.

Było to pod koniec siedemnastego wieku, krótko po zwycięstwie Jana Sobieskiego pod Wiedniem.

Na przedmieściu Wiednia, zwanego „Laimgrube“ (kopalnia gliny), nie było wówczas jeszcze takich pałaców, jak dziś; były tam wprawdzie wcale pokorne domeczki, ale więcej jeszcze było nędżnych chat, i do jednej z takich wprowadzamy czytelnika.

Chata stanowiła narożnik tak zwanego „kata żebraczego“ na ulicy Mariahilf, a w tej chacie mieszkał w jednej izdebce i jednej komórze uzdolniony muzyk Marten i szesnastoletnie dziecko, bardzo wdzięczne i uzdolnione dziecko, mianowicie wykształcone w kobiecych robótkach.

Jednakże ojciec ani córka nie mieli ehwilowego zatrudnienia, bo niedawno temu dopiero oswobodzony był Wiedeń od okrutnego turka, a miasto, które w tak okropnej było nędzy i tak blisko rozpacz, nie mogło rychło przyjść do siebie, mianowicie, że wojna jeszcze nie była ukończona. Była więc bieda ogólna; nikt nie myślał o zbytowej bieliznie, a tem mniej o wesołej muzyce; to też i do chaty muzykusa zajrzała nędza, a ojciec i córka nieraz zgłodnieli udawać się musieli na spoczynek.

Pewnego dnia, gdy już nędza doszła do najwyższego stopnia, nie mogło pocziwe dziewczę dłużej znieść rozpaczliwego narzekania starego ojca.

— Ojcie, — rzekła, ja pójdę poszukać sobie służby; całe zasługi oddam tobie, a ja się tam wyżywię.

— Co! — zawołał starzec rozdrażniony, i mię chcesz opuścić, niedobre dziecko? A ktoby mię wtenczas pielegnował? Nie, z tego nic nie będzie.

— Ale, ojcze kochany — zauważyła Józia, niema przecież tymczasem innego środka, żeby tobie dopomóc. Wiesz że już dawno pisałam do męża nieboszczyka mej chrzestnej, a do dziś dnia niema odpowiedzi.

— Wierzę, — mruknął stary, lepiejbyś była do samego szatana pisała, bo ten z pewnością nie taki kutwa, jak ten dusigrosz Wild.

— Ależ ojcze to grzech tak mówić! — zawołała dziewczę. — To już lepiej udajmy się w modlitwie do mojego patrona, on nam wstawieniem się swoim u Boga z pewnością pomoże.

— Myślisz? — zawołał ojciec z goryczą. — Ja zaś myślę, że ten biedny cieśla u góry niema tyle kredytu, co niejednego bogacza, który się tuczy jak bydlę. No — dodał z gorzkim szderstwem, napisz do niego, do św. Józefa jeżeli myślisz, że ci się to na co przyda.

— To dobra myśl, ojczusku, ja też to zaraz zrobię! — zawołała prostoduszne dziewczę z radością. — Napiszę mu, a ten mój gołąbek, któremu i tak nie dać nie mogę, aby się wyżywił, list mój zaniesie.

Usiadła do biurka ojca i na małej karteczce napisała następujące słowa: „Święty Józefie! Zmiłuj się nad naszą nędzą! Nie mamy ani roboty, ani co wziąć w usta! Proś, proś Boga, aby mi zesłał zatrudnienie, bo ojciec mój głodny!

Twoja wierna imiennica Józefa Merten, córka muzyka, szwaczka, Laimgrube, w narożniku żebraczego kąta.

Złżyła papier, przymocowała go za pomocą nitki do szyi gołąbka, otworzyła okno i — wychudła ptaszyna odleciała.

Upłynęła godzina, gdy do drzwi zakolatano. Na zaproszenie ojca wszedł młody, zgrabny i starannie ubrany mężczyzna do izby.

— Czy tu mieszka sławetna panna Józefa Merten? — zapytał.

— Tak jest, a czego od niej chcesz? — odpowiedział ojciec, podejrzliwie się mu przypatrując.

— Jestem Józef Karol Hirtl, obywatel i jubiler tutejszy — rzekł nieznajomy przyjaźnie, — mieszkam tu w pobliżu i odebrałem od patrona mojego św. Józefa, do którego wielkie mam nabożeństwo, aby odpowiedzieć na ten list, który mu wasza pobożna córka napisała. Potrzebuję wiele nowej bielizny, i chcę pannę Józefę poprosić, aby mi ją uszyła; grywam także dla chwały Bożej a dla mojej przyjemności jako amator na chórze w kościele Karmelitów, więc potrzeba mi dzielnego muzyka, abym się lepiej wykształcił. Czy pan mistrz i panna Józefa chcą na to przystać?

— Ach, z największą chęcią! — zawołała Józefa z zapalem.

— No, — odpowiedział na to jubiler, — to musicie mi pozwolić, że wam dam zadatek, bo ja bez zadatku roboty nie przyjmuję, ale też bez zadatku roboty nie daje.

To mówiąc położył pięć dukatów na stół.

— Widzisz ojcze, — zawołała Józia, — jak to św. Józef odpowiedział na mój list! Ach jakże mu szczerze będę dziękowała.

— Czyń to, moja panno, zawsze, a nie pozostaniesz bez pomocy i opieki, — rzekł obywatel poważnie. — Przyślę tu przez służącego płótno i wzór, podług którego bielizna ma być zrobiona i oczekuję zawiadomienia, gdy będzie gotowa. A pan, panie mistrzu, bądź łaskaw jutro rozpocząć z nauką. Tu wam zostawiam mój adres, na domu wymalowany jest św. Józef.

Obywatel skonił się z uszanowaniem i odszedł.

Józia w radosnem uniesieniu rzuciła się ojcu na szyję; ten zawstydzony widocznie spuścił ku ziemi wzrok.

Wytłumaczenie tego zrzędzenia Opatrzności jest bardzo proste.

Zbiedzony i osłabiony gołąbek nie zdołał daleko lecieć, a wystraszony niezwykłą ozdoba na szyi, zawieszonym listem, wleciał przez otwarte okno do jednego z domów na najbliższej ulicy.

Właściciel domu, ów młody jubiler, zdziwił się niepomału, spostrzegłszy u szyi skrzydlatego swego gościa karteczkę; odebrał ją, przeczytał, zastanowił się nad tem dziwnem Opatrzności zrzędzeniem, a rozczuliwszy się tą mocną ufnością i prostotą dziewczęcia, postanowił stać się narzędziem Opatrzności.

Ale nie skończyło się na tem. Wskutek tego niezwykłego zdarzenia poznał ów jubiler wartość i dobre usposobienie córki biednego muzyka. Rok zaledwie upłynął, a już w domu jego krzątała się młodzintka jego żona — Józia, która z wdzięczności za doznana opiekę i pomoc w potrzebie, ozdobiła chatkę, w której dawniej z ojcem mieszkała, obrazem św. Józefa. Obraz ten do dziś dnia umieszczony jest na pamiętkę na domu w miejscu owej chatki.

Gdzie prorok, Piłacie?

(Dokończenie.)

Góra Syon... Na urwistym jej zboczu wisi rzucana Jerozolima! Karawana przystaje na chwilę.

Faustyna pochłania oczami Jeruzalem... tam prorok leczy trędowaty!

— Och, prędzej, prędzej! — nagli staruszka. Pod górę idzie wielbłąd ostrożnie.

Wobec cesarskich znaków lud się rozstępuje i przepuszcza karawanę naprzód.

Dotarli do miasta. W Jerozolimie ścisł; jechać niepodobna.

Faustyna rzuca wielbłąda, dąży pieszo, służy cesarscy torują jej drogę.

— Ludzie, widzieliście już proroka? — pyta stara niewiasta co chwila.

Nikogo pytanie nie dziwi.

— Pewnie już jest, co święta chodzi do Jeruzalem.

— Już musi być.

— Przed kilku dniami wjeżdżał na osiołku swoim, ludzie radośnie go witali, drogę kwieciami i palmami usłali.

— Wielu już uleczył, a i uczniowie jego chodzą między ludźmi.

Faustynę trawi gorączka, szkarlatne rumieńce na twarzy jej występują, wspiera się kijem, ale idzie mocno.

— Cóż to za człowiek pędzi, jak szalony i czemu targa szaty na sobie? — pyta staruszka.

— Uczeń proroka, to Judasz.

— Cóż to, oszalał? — pytają ludzie.

— Judaszu, — wołają, gdzie mistrz twój, gdzie Rabbi?

— Judaszu — woła Faustyna, — gdzie prorok?

— Coś złego stać się musiało, — ktoś woła.

Judasz znikł w tłumie.

Ostatniego dnia przed sabatem, po nocnym spoczynku, wyszła Faustyna szukać proroka.

Było rano, a tłumy szły już tak gęste, że z trudem trzeba się było przebić.

Naraz w stronie miasta, prowadzącej na Golgotę, wstrzymał się ruch wszelki. Tłumy stają jak wryte.

Idą naprzód ulicą żołnierze, mieczem drogę torują.

Za żołnierzami idą oprawcy, nio g narzędzia, służące do krzyżowania zbrodniarzy. Za nimi w białej, krwią przesiąklej szacie idzie wąż, na śmierć skazany człowiek.

Na głowie ma wtłoczoną koronę z ciernia. Kolce długie, ostro wbite krew toczą. Krew zalewa oczy, zlepia włosy. Na ramionach dźwiga krzyż olbrzymi, krzyż ciężki.

Pod tym krzyżem ugina się do ziemi. Srogi oprawca podtrzymuje go sznurem, szarpiąc srodze.

Za tym wąż, męczonym człowiekiem idzie tłum... tłum straszny, plwający, urągający, przeklinający, tłum bezlitośny... Za tłumem tym setki kałek, ślepych, chromych i gromada zawodzących niewiast...

— Co to jest? — Kto ten winowajca? — Co on uczynił? — rzuca pytania Faustyna.

Serce jej dziwna trwoga przejmuje. — Cesarzem się mienił, królem się zwał, zakonu nie szanował.

— Cesarza zdradzał! — wołają wokół.

— Nieszczęśliwy, zgubiony! — szepce Faustyna. — Niepojęta pętana siła dociera do samego skazańca.

Staje tuż przy krzyżu, chwytą go ręką. Żołdak odpycha ją szorstko, a szarpnawszy gniewnie sznurem, powoduje upadek pod krzyżem człowieka.

Lekki, bolesny jęk wydobywa się z piersi upadłego.

Wyciąga rękę, szuka oparcia, chwytą szatę Faustyny.

Przyciągnięta sabinka obejmuje szyję skazanego i z bezgraniczną litością przytula świętą głowę do swej piersi...

Ściąga z głowy zasłonę, obciera nią krew, płynącą obficie z oczu i twarzy omdlewającego!

Trwa to małą chwilę, nim krzyż dźwignie.

Żołdak odtrącił niewiastę i pcha okrutnie i bije i każe powstać upadłemu pod ciężarem strasznej męki skazanemu.

Tłum się rusza, wrzeszczy, pięści w górę podnosi, złorzeczy, mękę do męki dodaje.

Odepchnięta Faustyna upada na ręce swej straży i żąda spoczynku, wytchnienia; chustę śladami krwi i potu przesiąkniętą kurczowo w rękę zaciska.

— Sulpicyuszu — woła spoczawszy Faustyna, — idźmy do wielkorządcy Piłata, ten niech powie, gdzie prorok.

Piłat w pałacu swym wydaje ucztę, udanym śmiechem tłumy wewnętrzną zgryzotę.

Żona jego blada, jak płótno, siedzi przy biesiadnym stole, drży jak liść osiny. Ona wie, że tam na Golgocie niewinny na krzyżu rozpięty kona!

Godzina trzecia po południu. Straszna godzina!... Słońce gaśnie, mrok zalewa Jeruzalem... mrok gęsty otacza biesiadników Piłata.

— Co to jest? — woła żona.

— Światła wnieść! — woła błądy Piłat.

Jasność rozprasza na pozór smutek. Wtem drzwi się rozwarły; do biesiadnej sali wchodzi cesarski poseł Sulpicyusz, za nim majestatyczne widmo bladej, drżącej staruszki.

— W imieniu boskiego Tyberyusza szlachetna Faustyna chce mówić z tobą, wielkorządczo cesarski.

Piłat daje znak posłuchania.

— Gdzie prorok, piłacie? — gdzie prorok, co leczy ślepe, głuche i trędowate? — Powiedz, gdzie jest ten prorok?

I wlepia oczy w Piłata, oczy słodkie, niewinne, do dna duszy sięgające.

Piłat drży, drży żona jego.

— Prorok ów był wróg cesarza, według prawa osadzony jest i ukrzyżowany jest.

— Proroka zabiłeś! A prorok mógł uleczyć Cezara! — krzyknęła strasznym głosem Faustyna i padła na murmur zenidlona.

Trzęsienie ziemi wstrząsnęło posadą pałacu Piłata, część w grzyzy runęła.

W kościele Salomona zasłona na pół się rozdarła, — skały pękały zaczęły, groby się rozwarły, umarli zmarłych powstałi. Ciemność, straszna ciemność ziemię otoczyła!

Na krzyżu, na Golgocie, — Skonał Bóg-człowiek.

Okręt płynie z powrotem, dobija już do Capri.

Na terasie niecierpliwy Cezar bada ruchy okrętu.

Białe mewy uderzają skrzydłem o żagle, krzycząc dziwnie żałośnie.

To siadają na żębie, to z krzykiem giną w przestrzeni.

Cezar wpija chore oczy w okręt, chce już widzieć proroka!...

Zarzucają kotwicę. Okręt staje. Rzucają pomost. Sulpicyusz sprowadza na ląd Faustynę.

Cezar drży z niecierpliwości, czeka proroka, czeka cudu, — ach, czeka od-młodzenia swego!...

Wchodzi Faustyna, — wchodzi sama. — Gdzie prorok? — krzyczy Cezar rozpaczliwym głosem.

— Prorok ukrzyżowany jest, Pilat wydał go na śmierć!... — Błada jak ściana osuwa się na wezglowie staruszka.

Tybertyusz zwija się w kłębek ze strasznego bólu i gniewu; miota okropne na Pilata przekleństwa, srogie kary obiecuje, krzyżową śmiercią mu grozi, jęczy, w końcu płakać zaczyna, jak dziecko!...

Na odgłos tego płaczu wstaje Faustyna, siada przy nim na podłodze ni-ziutko, obejmuje głowę rękami i tulić zaczyna.

Cezar pod dotknięciem jej ręki zasypia.

Faustyna szepce, cicho wodząc dłońią po zranionem czole Cezara:

— Śpij, śpij spokojnie! Ja cię pocieszę, ulecę... śpij, prorok choć zabity, uleczy cię, biedny nieszczesny władco!

Budzi się Tybertyusz, błagalne oczy wlepią w staruszkę.

Faustyna wzrok ten rozumie, ona wie, że te oczy proszą ją o ratunek.

Rozwija ostrożnie zakrwawioną chustę, — ukazuje Tybertyuszowi i mówi słodko z zachwytem:

— Patrz w tę chustę długo, patrz z wiarą Cezarze!...

Z pośród płam krwawych zarysowuje się wyraźnie twarz męczeńska ukrzyżowanego proroka. Smutne oczy padają na oblicze Cezara.

Tybertyusz rzuca się na ziemię.

— O ty wielki, ty nieznany! Cemuż nie mogłem obronić ciebie? Przysięgam pomścić twą krzywdę, świątynię wystawić, tylko ulec mnie, o ty nie-poznany przezemnie!

Faustyna usuwa powoli świętą chustę z przed oczu Cezara i widzi cud... Rany na twarzy zniknęły zupełnie.

Poraz wtóry płynie okręt z Capri ku Palestynie, płynie z rozkazu Cezara po uczniów proroka.

Uczniowie przybawają, sieją na Capri pierwsze ziarna nauki ukrzyżowanego proroka, udzielają chrzest św. Faustynie, której nadają imię Weronika

Stara karmicielka Cezara dożyła lat 90. Umierając łożyła świętą chustę w ręce dyakanów.

Dziś święta ta relikwia spoczywa w bazylice św. Piotra w Rzymie.

Syn marnotrawny.

Było to roku 1840, w samą uroczystość Najświętszego Serca Jezusowego, we wiosce, której nazwiska ci nie wymieniam. Na sumie mówił ks. proboszcz do tych grzeszników, którzy sobie wyobrażają, że się poprawić nie mogą i tracą ufność w miłosierdziu Boskiem. W końcu dodał:

— Pójdź grzeszniku, ktokolwiek jesteś, pójdź do Serca Jezusa, Zbawiciela twego! On dość potężny, by cię wyrwać z przepaści; dość bogaty w miłosierdzie, by cię przebaczyć, jeśli doń z ufnością przyjdiesz — choćbyś był tysiąc razy większym grzesznikiem, jak jesteś. Pójdź więc, pójdź, kochany grzeszniku!

Gdy kapłan po południu przechadzał się po ogrodzie, zbliżył się doń szybkim krokiem mężczyna przyzwoicie ubrany i prosił go, by z nim poszedł do pokoju. Skoro przyszedł, tak począł mówić nieznanemu, a rześiste łzy zrosiły jego policzki:

— Ojcze, tyś mnie dziś wołał; przybywam więc na twe wezwanie — ale niestety, może za późno. Jestem twoim parafianem, błąkałem się przez długie lata po cudzych krajach i wszystko straciłem, prócz wiary. Jestem jednym

z tych grzeszników, którym tak do serca przemówiłeś. Chciałem (tak zły jestem), chciałem się jeszcze opierać łasce, ale nie mogłem. Jestem przekonany, że Bóg mnie do ciebie przyprowadził, byś mnie od wiecznej zguby wybawił. O! ratuj mnie, pomóż mi, proszę cię!

Kapłan widząc w nim nadzwyczajne zmieszanie, mniemał, że nie ma zdrowych myśli, lecz nieznanemu odgadłszy myśli kapłana, rzekł:

— Tu (wskazując na głowę) nie nie brakuje — ale w sercu o tyle więcej. Opowiem ci cały bieg życia mego. Już 14 lat jak opuściłem ojczyznę; ziemi przykładami porwany, zapomniałem na przyrostki obowiązki religii i już 15 lat się nie spowiadałem. Od kilku lat mieszkalem w domu innowiercy, który mi obiecał swą córkę za żonę, jeśli obiecałem zmienić religię — lecz odtąd jedna i ta była nieznajomą od drugie. Nie mogąc znieść zgryzot sumienia, postanowiłem porzucić narzeczoną i w inną udać się stronę. Wtem uczulem nieprzepartą tęsknotę za ojczyzną — i oto wróciłem dzisiaj i byłem na nabożeństwie. Tu łaska Boska mnie wzruszyła i jasno poznałem, że mnie tu Bóg przyprowadził, abym się nawrócił, co też z całego serca uczynić pragnę.

Kapłan widząc taką szczerość jego, wyznał mu dzień do spowiedzi.

— Tysiące słuchałem spowiedzi, opowiada kapłan — ale mało takich lub żadnej, co by mnie tak wzruszyła, zbudowała i do żywego przejęła, jak tego grzesznika! Musiałem razem z nim płakać, ale tak słodkimi łzami, żebym takie łzy codziennie chciał wylewać. Doremnie siliłbym się opisywać jego wdzięczność ku Bogu. Najwyższego kresu radość jego doszła, gdy przystępował do Stołu Pańskiego. Rad bym, aby tysiące tych chrześcian oziębłych, którzy nie umieją cenić tego daru, przypatrzili się temu zjawisku.

Skończywszy dziękczynnie odnowiwszy przyrzeczenie dozgonnej Bogu wierności, poszedł na grób swych rodziców, którzy ze smutku i zgryzoty pomarli. Tu wśród łez i łkania rzekł:

— Ojcze drogi, matko kochana, ciesze się tam w niebie, bo syn wasz stracony znowu się znalazł. Jezus, najlepszy pasterz — przyniósł go na swych ramionach do trzódki swojej! O! przebaccie też i wy tam w górze — waszemu ze skrucą powracającemu dziecku!

Po kilku dniach prosił kapłana do chorego. Spieszy kapłan natychmiast, lecz jakże się zdziwił, gdy w chorym poznał owego młodego człowieka, który rzekł doń pełen zapалу:

— Ojcze, śpiewaj ze mną hymn dziękczynny, bo dobry Pan Jezus chce mnie już wciągnąć do siebie, do mojego ojca i mojej drogiej, kochanej matki.

Kapłan nie widząc żadnego niebezpieczeństwa, chciał mu czynić nadzieję wyzdrowienia, lecz chory rzekł:

— Jestem pewny, że już nie wstanę, dlatego cię proszę, dokończ dzieła twego i spraw, bym umarł jako prawdziwy pokutnik. O, jakże chętnie umieram, o gdybym za grzechy moje częściej niż raz mógł umrzeć!

Codzień przeto łączył swą śmierć z śmiercią Pana Jezusa i ofiarował ją za grzechy swoje. Ani słówko skargi nie wyszło z ust jego, a gdy ubolewano nad jego cierpieniem, mawiał:

— Nie warto mówić o moich cierpieniach, gdy na me grzechy wspominać. Kto tyle razy, co ja na piekło zasłużył, ten się nie może dość nadziejkować Panu Bogu, że tak łagodnie go karze. O Panie! tu siecz, tu pal, tylko tam — w wieczności mi przebac!

Długo jeszcze, długo cierpiał, a z cierpieniem rosła jego cierpliwość i pragnienie większego cierpienia.

Zbliżyła się wreszcie godzina wyzwolenia. Kapłan przyszedłszy, zastał go zimnym potem zlanego; chciało mu otrzeć pot z czoła, ale on nie dopuścił tego, w te odezwaawszy się słowa:

— A któż memu Zbawcy pot krwawy z czoła ocierał?

Kapłan widząc, że kona, rzecze:

— Mój synu, oto Pan już blisko! błogosławiony sługa, którego Pan przyszedłszy, znajdzie czuwającego.

— Dzięki Bogu, zawołał chory; przyjdź o Panie, przyjdź i weź mnie do siebie! Jezus, Tobie żyję, Jezus, Tobie umieram! Jezus!...

To było ostatnie słowo — uśmie-

chnął się, drżącą ręką przytulił do ust krucyfiks, a wyciągnawszy ramiona, jakby na czyjeś powitanie, zgasł, miłością raczej, jak chorobą strawiony. O! Jakież tam w niebie było powitanie z ukochanymi rodzicami.

Mój zegarek.

Pouczająca bajeczka.

Mój piękny nowy zegarek chodził przez półtora roku bez zająknięcia. Zaczynałem uważać jego mechanizm za nieomyślny w sądach o czasie, a jego anatomię za niespożyta. Gdy nagle pewnego dnia, a właściwie — pewnej nocy, zdarzyło mi się nieszczęście. Upuściłem zegarek na ziemię. Zmartwiło mnie to bardzo. Widziałem w tym wypadku zapowiedź nieszczęścia. Niebawem jednak uspokoiłem moje przesądne obawy i poszedłem do pierwszego w mieście zegarmistrza, aby zasięgnąć jego zdania.

Wziął mój zegarek do ręki, obejrzał go bardzo uważnie i oznajmił:

— Spóźnia się o trzy minuty. Trzeba posunąć regulator na „avans“.

Próbowałem go odwieść od tego zamiaru, wytłumaczyć, że mój zegarek chodzi znakomicie.

Żadne ludzkie siły nie zdołały go powstrzymać od posunięcia mego zegarka na „avans“.

Zegarek zaczął się spieszyć i spieszy się coraz bardziej. Po tygodniu dostał gorączki trawiającej, puls jego podniósł się do stu pięćdziesięciu na minutę.

Po dwóch miesiącach zostawił daleko po za sobą najlepsze chronometry miejskie i wyprzedził kalendarz o trzynaście dni z góry.

Był już w połowie listopada, korzystał z przyjemności sanny, gdy jeszcze na świecie październik roztaczał swe przestarzałe wdzięki. Płaciłem przedwcześnie za mieszkanie, opłacałem przedwcześnie procenty od zaciągniętych pożyczek. Sytuacja stawała się niemożliwą.

Zaniósłem mój zegarek do innego zegarmistrza.

Spytał mnie przedewszystkiem, czy był już w naprawie. Odpowiedziałem, że nigdy naprawy nie potrzebował. Rzucił mi spojrzenie złośliwe.

Otworzył kopertę, wsunął w oko jakieś djabełskie kółko, obejrzał mechanizm i oświadczył:

— Ten zegarek potrzebuje koniecznie oliwy. Przyjdź pan za tydzień.

Po uregulowaniu i „naoliwieniu“ mój zegarek chodził, ale tak powoli, jak dzwon, uderzający w długich, choć równych odstępach. Zacząłem się spóźniać na pociągi, zalegać w opłatach.

Żyłem wilią dnia, potem na dwa, potem na trzy dni wstecz, a wkrótce ujrzałem się opuszczony, wśród ubiegłego tygodnia jak rozbitek. Już odczuwałem w sobie ducha pokrewnego mumiom i miałem wielką ochotę porozmawiać z niemi o ostatnich nowościach.

Poszedłem znowu do zegarmistrza.

Rozrębuwał wszystkie kółka i oświadczył mi, że cylinder jest „napęczniały“. Obiecał doprowadzić go do stanu normalnego.

Po tej kuracji, mój zegarek wskazywał godzinę „przeciętną“. Przez pół dnia syczał, piszczał, szecekał i kichał. Natomiast, w drugiej połowie dnia spał snem niezamąconym, pozwalając doganiać się innym zegarkom; bądź co bądź, w ciągu doby wskazówki obiegały dokoła cyferblatu.

Zaniósłem go znowu do zegarmistrza. Okazało się, że szkło przeszkadza. Naprawił je. No i potem wskazówki zaczęły biegać tak szybko i tak się ze sobą krzyżować, że choć zegarek siedł znakomicie, nie można było domyślić się, która godzina.

Poszedłem znowu do zegarmistrza z mocnym postanowieniem zrobienia awantury, jeśli zechce go naprawiać. Zegarek kosztował mnie dwieście dolarów — z kosztami reperacji wynosił teraz — trzy tysiące dolarów.

Zegarmistrz przyglądał się przez lupę, wsuwał w oko drewniane kółko, wreszcie oznajmił, że zegarek wymaga gruntownej naprawy. Zacisnąłem pięść i huknąłem zegarmistrza między oczy. Umarł od tego ciosu. Musiałem go pochować własnym kosztem.

Mój nieboszczyk stryj William (świeć Panie jego duszy), zwykł był mawiać,

że koń jest dobrym koniem, dopóki raz nie poniósł, i że zegarek jest pomyślnym zegarkiem, póki nie dostanie się w ręce zegarmistrzów. Stryj zapytywał też nieraz, jaki zawód obierają szewcy, kowale, bednarze, którym nie poszczęściło się w obranem pierwotnie rzemiośle... Nikt jednak nie potrafił mu na to odpowiedzieć.

Rozmaitości.

— **Spiewające dywany.** Oryginalną niespodziankę sprawiła swym gościom jedna z dam arystokracji paryskiej. Użyto już rozmaitych rozkoszy, nie wyłączając obasypania kwiatami i sądzono, że wszystkim niaspzdiankom nastal już kres. Gdy jednakowoż goście przeszli do herbaciarni i wstąpili na dywany, odezwał się świergot różnych ptaków, choć ani jednego z nich nie można było dostrzedz. Pani Juli sprowadziła sobie ten dywan z Japonii, gdzie już od pewnego czasu tworzą przyciągającą niespodziankę w herbaciarniach. Zresztą dywany nie odróżniają się niczem od tych, którymi się zwykle zaściela podłogi.

— **Jaje za 4987 franków.** Za tę sumę kupiono niedawno na licytacji w Londynie jaja wielkiej alki, wymarłego już gatunku pingwinów, z pozostałości po pani Ussel na Ile d'Esu we Francji. Odziedziczyła ona to kosztowne jaje po swoim ojcu, który otrzymał je w spadku po swoim ojcu znanym ornitologu.

— **Zamach na Grob Chrystusa.** W urzędzie cłowym w Beirut zrobiono niedawno strasne odkrycie. Jedną z przesyłek, świeca przeznaczona do Grobu świętego w Jerozolimie, pochodząca z Rosji, zwróciła uwagę urzędnika cłowego, niezwykle dużym ciężarem. Podczas zbadania okazało się, że świeca zawiera trzy kilogramy dynamitu w metalowej osłonie. Wybuch musiałby nastąpić w kilka minut po zapaleniu świecy, a siła jego — zdaniem rzeczoznawców — wystarczaby, aby cały kościół wysadzić w powietrze. Władze rozpoczęły energiczne śledztwo, aby zbadać pochodzenie przesyłki.

Wesoły kącik.

— **Czuly mąż.** Pewien mąż żył ze swoją żoną jak pies z kotem. Naraz żona zachorowała obłożnie, a mąż stojący obok łóżka, słyszy, jak jego stara modli się w te słowa.

„Panie, uwolnij mnie z niewoli mego tyrana męża“.

Gdy to mąż usłyszał, upadł na kolana i modli się pokornie.

„Panie, zlituj się, i wysłuchaj prośby mej nieszczęsnej i niezadowolonej żony.“

— **Ilu jest dyabłów?** — zapytano pewnego chopca. Tego z pewnością nie wiem, jednak musi ich być niezmiernie wiele, bo moja matka liczy ich po sto a mój ojciec po trzy kroć sto tysięcy fur, beczech i okrętów!

— **Piosenka pijaka.**

Na bok z drogi ludzie,
Bo z gościńca idę,
Bom tam swój dobrobyt
Pomieniał na biedę.
Babę z dzieciakami
Wyścigam na dziady,
Bo z niemi nie mogę
Żadnej dać se rady.
Uciekajcie na bok,
Bo mi w głowie szumi,
Bo poznać waszycy,
Co to pijak umie!
Póki wódka tania,
Trzeba ją pić bez miary,
Bo ja potem zdrożę
Karczmarze psiawiary.
Póki służą lata,
Wódką się ucieczę,
Potem z próżną flaszką
Gdziebądź się powieszę.

— **A czegoż to Walentowa tak płaczecie, czy wam dziecko umarło?**

— Eh! co tam dziecko, to bajki, jedno zamrze to drugie będzie, jeno mi wieprzak zdechl. Oj! moje ty śliczności, mój ty skarbie! czemużes mnie sirotą na tym świecie ostawił, kaj mi już za ciebie 45 marek niemiec dawał.

Redaktor odpowiedzialny W. Grims-mann w Gdańsku. Drukiem i nakładem Gazety Gdańskiej G. m. b. H.